J. Szczepowski

CHATKA W LESIE.

CHATKA W LESIE.

DZIWACTWO DRAMATYCZNE

przez

WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.

CZĘŚĆ DRUGA.

WILNO.

Nakładem A. ASSA Księgarza w Wilnie.

1856.

Józef Szczepowski

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno 15 Października 1855 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

Czcionkami A. Marcinowskiego.

SŁÓWKO DO CZYTELNIKA.

W przedmowie do piérwszéj części *Chatki w lesie*, przyrzekliśmy dopowiedzieć ostatni wyraz naszego przekonania, o szczęściu na ziemi. Niemasz go w świecie zewnętrznym, i zaledwie wtedy godziłoby się o niém marzyć, gdybyśmy sami i otaczający nas ludzie byli bezwarunkowo doskonali. Ale człowiek, jednostka społeczna, przy najdotkliwszych osobistych cierpieniach, niéma jeszcze prawa nazwawszy się nieszczęśliwym i załamawszy bezsilnie ręce, wymykać się z szeregu robotników Pańskich na niwie wspólnego trudu. Powinien się leczyć—aby ze zdrową ręką i sercem stanął na swym zagonie; życie czynu, ofiary i miłości bratniéj, dopełniając celów naszego powołania, ma w sobie zarazem, powoli działającą, ale dziwnie leczebną siłę na cierpienia ducha. Bo zważcie: większa część ran naszych moralnych, pochodzi z ręki naszych bliźnich. Kiedy raz zawiedzione serce mizantropa,

przestawszy wierzyć w ludzkość, usycha na resztę życia, człowiek chrześciański zmuszony do ciągłego stosunkowania z ludźmi, musi dopatrzyć ich stronę dodatnią, musi ich pokochać jako tych którzy mu sprawili tyle szlachetnego zadowolenia z siebie; a kto kocha niemoże być całkiem nieszczęśliwy.

W takiéj sytuacyi postawiłem Henryka w jego skromnéj *Chatce w lesie* — bo gdzież piękniejsze pole do poczciwego trudu, jak w naszych ubogich chatkach, wśród ludu serdecznego, a tak potrzebującego współczucia od swéj starszéj braci? Wśród cierpień ducha, niemógł zaprawdę Henryk wieść kontemplacyjnego życia literata, z myślami i książką; pióro mu wypadło z drżącéj ręki, ale drobne na pozor a pożyteczne dla siebie i drugich prace wiejskie, wymagające ciągłéj przytomności umysłu, wyrywając go z przykrych marzeń, musiały mu przynieść ulgę.

Czyn poczciwy ma właściwe sobie piękno — w promieniach takiego piękna Marya ujrzała znowu Henryka; niemogła się oprzeć jego urokowi, przeczuła co w sposób najbardziéj skuteczny, zdolne jest zapełnić próżnię życia— i znowu zapragnęła *Chatki w lesie*, nie już jako młoda marzycielka, lecz jako istota co się gruntownie zastanowiła nad życiem.

Tyle o głównych osobach i zadaniu obecnéj książki: co do postaci akcessoryjnych, tu znowu czujemy potrzebę uroczyście zapewnić, że postaci te czysto fantastyczne, a lubo mają pretensyą być typami, nie są żadném odbiciem *wzorków*.

Niepisząc dla sceny, niestaraliśmy się spajać ustępów ciągłą nicią intrygi.— Wszelako z próbek kilku ustępów, granych tu na jednym amatorskim teatrze, powzięliśmy przekonanie, że z pewnemi modyfikacyami *Chatka* nasza mogłaby wytrzymać próbę reprezentacyi. Miłe grono, co pełném czucia przedstawieniem *Chatki* sprawiło nam tak rzewną niespodziankę, co tak serdecznie dzieliło z autorem jego wrażenia, niech raczy przyjąć na téj kartce, pamiątkę pięknego letniego wieczora w Suderwie d. 9 Sierpnia b. r., któryśmy policzyli do niezapomnianych chwil naszego życia.

Wł. Syrokomla.

d. 28 grud. 1855. Borejkowszczyzna.

OSOBY.

HENRYK.

MARYA.

PAN MARSZAŁEK Ojciec Maryi.

PAN SĘDZIA Płodoźmian.

TRZASKA stary myśliwy, sąsiad Henryka.

MATEUSZ stary służący tegoż

WIEŚNIACY.

USTĘP PIERWSZY.

(*Ciemny las — opodal schludna chatka*).

HENRYK (*zamyślony, siedząc na wywróconéj kłodzie, mowi do siebie*):

Tak tu miło jak w raju, choć ciemno jak w grobie!
Jak tu rzezwo mym piersiom po ciężkiéj chorobie!...
Serdecznie bądź pozdrowion ciemnych puszcz namio-
cie !
Tak dawnó z całą żądzą garnąłem się do cię;
Lecz głuszon gwarem świata, kędy troski bodą,
Człek nieczuł się być godnym rozmawiać z przyrodą;

Duch niedosyć był święty, niedość uroczysty
Rozważać szelest dębów, albo jodeł świsty,
Nierozumiał strumyka, co wśród olszyn burczy,
Zapomniał pisku wilgi i mowy przepiórczéj...
Część tutaj była mojéj, część nie mojéj winy...
Ot, jak ten trup zwalonéj na ziemię sośniny,
Czemu się nie podniesie? czemu niezieleni?
Bo ma próchno pod korą, a robactwo w rdzeni,
Bo sam środek jéj piersi młodzieńczéj a wątłéj
Porozbijały żółny, poraniły dziątły.
Rosochate jéj ręce zielenią się, kwitną;
Ale to mchem zielonym, trawą pasożytną...
Tak i z sercem człowieka, tak i z głową jego,
Gdy niedole obarczą, gdy troski oblegą,
Życie nibyto tleje, krew' obrót swój kryśli,
Lecz karmi pasożytne uczucia i myśli.
Kiedy ręce opadną, gdy zamroczy głowę
Wśród niemierzonych godzin lenistwo grobowe,
Nieznajdziesz dobréj woli, ani chwilki czasu
Na modlitwę pod krzyżyk, na dumkę do lasu.

I cóż wtedy natura obchodzić nas może?
Słowik śpiewa, tém lepiéj, snadź w dobrym humorze;
Kraśnieje złota jutrznia— co mi tam do złota?
Wiatrek łąkę kołysze!— a i to robota!..
O! takie to bluźnierstwa i urągowiska
Człek z matowém spójrzeniem na przyrodę ciska:
Bo przygnębion ku ziemi sam o sobie niewié,
Jak bujny zagon żyta po gęstéj ulewie.
Lecz Bóg przysyła promyk pogodnego słonka,
Ten w ciemną otchłań duszy kiedy się zabłąka,
Kiedy z piersi upadnie gniotąca opoka,
Gdy łza rzewna opłócze kataraktę z oka,
Wtedy idzie myśl zbawcza i lepsza otucha...

MATEUSZ (*wychodzi z gęstwiny z koszem grzybów*).

W imie Ojca i Syna i Świętego Ducha!
Wszak-to pana po lesie i chart niedogoni!
A święty Mateuszu! a święty Antoni!
Ja latam, biegam, hukam— od chaty Jakóba
Tropię zgubę po lesie...

HENRYK.

A jakaż tam zguba?

MATEUSZ.

O święty Bonifacy! o święty Gierwazy!
Pan sam zginąłeś z domu!

HENRYK.

Jestem na rozkazy.
Czegoż tam chcesz ode mnie?

MATEUSZ.

At, nic... jedno słowo:
Chciałem panu przypomnieć gorączkę nerwową:
I co przepowiadała doktorska nauka,
Że kto się nieszanuje recydywy szuka.

HENRYK.

Daj pokój, Mateuszu! mnie tutaj tak błogo,
Tutaj serce odetchnąć, myśli bujać mogą,

Tu skupiam dawnych wrażeń rozproszone szczęty
Po tak długiéj chorobie.

MATEUSZ.

A święty Wincenty!
Alboż pan nierozumié, co to z tego bywa?
Z tych dumań, wrażeń, marzeń— będzie recydywa.

HENRYK.

Wszakem zdrów od tygodnia.

MATEUSZ.

O święty Gierwazy!
Nerwowa... i sercowa... gorączka dwa razy.
Pan myślisz, że ja niewiém jaka tu zawiłość?
Miłość rodzi gorączkę— a z gorączki — miłość;
I tak *idem par idem*, jak mówi wikary,
A do końca nietrafim.

HENRYK.

Niebój się, mój stary!

Gorączka już minęła, a miłość ochłodła.
Chcieć Maryę zapomnieć—byłaby myśl podła,
Poprzysiągłem raz kochać i uczuć niezmienię;
Ale nazbyt gwałtowne przygasły płomienie.
Nic mi obrazu Marji z serca niewyziębi...
Ty niewiész, jak to słodko w tych ostępów głębi
Marzyć o niéj— przebaczyć jéj płochéj pustocie,
Odnawiać miłych wspomnień niezliczone krocie,
Wywołać cień jéj ducha wyobraźni siłą,
Szczebiotać z nią i gwarzyć—jak to się gwarzyło
W szczęśliwsze chwile życia,—jak tu czas upływa !
Nieuwierzysz, mój stary !

MATEUSZ.

Będzie recydywa !
Nerwowa, czy sercowa, albo razem obie.
Ej, panie ! jak B ó g miły, strzeż się po chorobie!
Na dwoje babka wróży— ja tu niewidomy
Byłem świadkiem niedobréj u pana symptomy :
Pan gadał sam ze sobą— czy pan to pamięta?

O Święty Mateuszu! Małgorzato święta !
Patrzę... to pan... podchodzę... i bliżéj znów patrzę:
Gada... macha rękami jak aktor w teatrze...
Może przez pięć *ojcze nasz*— ja cały się trwożę,
Gorączka, myślę sobie, niedopuszczaj B o ż e !
A po takich cierpieniach, o święty Sylwestrze !
Wszystkie momenta życia stoją na rejestrze !
Gadać samemu z sobą— to, uczciwszy uszu,
Grozi cóś *mentus captus.*

(*świdruje sobie po łbie*)

HENRYK.

Nie, mój Mateuszu !
Ja nie z sobą gadałem.

MATEUSZ.

A z kimże ?

HENRYK.

Z drzewami !
Gniewały się że miasto zadługo mię mami,

Że boleść mego serca, że męki i burze
Nieprzyszedłem powierzyć zbawczyni naturze:
Gniewał się na mnie strumień i ten las sosnowy,
I ptaszki, żem zapomniał ich serdecznéj mowy.
Musiałem je powitać, musiałem przeprosić;
A ty, stary, sądziłeś...

MATEUSZ.

A dosyć już dosyć!
Ja rozumiém— pan myślisz, że u Mateusza
To już drewniana głowa i kamienna dusza.
Mnie samemu i nieraz ot tak czasem chce się
Zamyślić się, pogadać z drzewami, co w lesie,
I z mych dumań Bożemu spowiadać się światu;
Lecz powoli przychodzę jakoś do ochwatu:
Wszak to martwe stworzenie, gadam czy niegadam.
Ot lepiéj się samemu Stwórcy wyspowiadam.

HENRYK.

Mój dobry Mateuszu, bądźmy z sobą szczerzy:
Jakże gadasz ze Stwórcą?

MATEUSZ.

Mówię pięć pacierzy,
Pięć razy Zdrowaś Marja, jedno Wierzę w B o g a—
Ot jakoś i pociecha znajduje się błoga,
I nieśmieją się ludzie, choć posłyszą czasem :
Bo ja gawędzę z B o g i e m, a nie z ciemnym lasem.
To samo radzę panu.

HENRYK.

O mój dobry starcze !
Czyż B o g a roztargnioną modlitwą obarczę?
Modlę się, a myśl ziemska wciąż do mnie powraca

MATEUSZ.

I na to jest ratunek.

HENRYK.

A to jaki ?

MATEUSZ.

Praca.
Weź pan strzelbę, czy xiążkę, albo kosz na rydze,

Pracuj, aż póki czoło spotnieje w fatydze,
To się grzędę pokopie, to drzewko zaszczepi,
To i myśl swobodniejsza i modlić się lepiéj.
Siądziesz pan do wieczerzy, stukniesz kielich wina,
To i sen i apetyt powracać poczyna,
A robak gorzkich myśli co serce przejada
Zatruje się od razu.

HENRYK.

O biada mi biada!
Nieumiém znaleźć pracy, choć jéj serce szuka.

MATEUSZ.

Ej, panie! wolne żarty! gdyby mi nauka,
Gdybym co pan przeczytał xiążek choć w połowie,
To tobym ja pracował i sobie na zdrowie
I drugim na pożytek! Co to, panie — w lesie
Człek wyrwie się na chwilę, to i plon przyniesie.
Patrzaj pan: co tu ziółek— gdybym czytał xięgi,
Doszedłbym ich własności, ich całéj potęgi.
O święty Mateuszu! o święta Doroto!

Tu choroby po wioskach biednych ludzi gniotą,
To jabym ziółek leśnych miał zapas gotowy,
To od kaszlu, Mospanie, to od bolu głowy.
Tu wilki robią szkodę— a dosyć wam dosyć!
I starałbym się szlachtę i włościan uprosić,
Otoczyłbym obławą cały obszar lasa;
Człek się dobrze zabawi— uczciwie pohasa,—
A w dodatku i narod wspominałby wszędzie:
Bo wilczysko ich trzody pustoszyć niebędzie.
Gdybym ja czytał xiążki... powoli, powoli,
Wyczytałbym, co piszą o uprawie roli,
Począłbym własne grunta wyorywać lepiéj,
Jakiś się nowy koncept na gruncie zaszczepi...
O święty Mateuszu! intrata się sporzy,
Jeden, drugi zobaczy, że idzie niezgorzéj,
Poczną probować szlachta, a daléj wieśniacy,
Jedni oszczędzą kosztu, drudzy sobie pracy;
Ot będzie i zasługa: skorzysta lud Boży.
O święty Mateuszu! o święty Ambroży!
Daj mi, panie, naukę i xiążki, co w szafie,

A w lesie już ja sobie zaradzić potrafię,
I niebędę się skarżyć, że mi w sercu bodzie,
I niebędę z drzewami gawędzić na kłodzie,
I Bogu się zasłużę, i sobie wystarczę.
No, panie— czas na obiad.

HENRYK.

Dziękuję ci, starcze!
Nauczyłeś mię goić ciężką w sercu ranę
Z poety słów— ja czynu poetą zostanę.
Czynu!— na téj pustyni... tak! żaden pan świata,
Żaden rycerz, poeta, żaden dyplomata,
Niema tak pięknéj drogi w swych działań zakresie,
Jak Litwin dobréj woli, w nędznéj chatce w lesie!
Witaj mi, chatko leśna, ustronna, wieśniacza
Którą tyle serc biednych a dobrych otacza!
Oni pracują krwawo— pracujmyż pospołu:
Piękna niwa do pracy!

MATEUSZ.

Dano już do stołu.

My o gruszkach na wierzbie pleciem jak w malignie,
A tam pieczeń się spali i zupa ostygnie.
Zebrałem trochę rydzów na borowym mszarze,
Jak zmówić pięć pacierzy, zaraz je usmażę.
Idź pan powoli lasem, a ja skoczę dołem.
(odchodzi śpiesznie).

HENRYK.

Życie czynu!.. Ty Marjo, bądź moim aniołem!
Twym natchnieniom winienem téj chaty nabycie;
Pocznę z myślą o tobie odrodzone życie,
Pocznę żyć w mojéj chatce jakby w ojcowiźnie,
Pocznę wspierać, pocieszać, nauczać me bliźnie,
A tak i dolę własną i drugich osłodzę...
Święty duchu natchnienia, wspieraj mię na drodze!

USTĘP DRUGI.

(*Rzecz w restauracyi*).

MARSZAŁEK (*przeglądając kartę potraw*).

O dzisiejszym obiedzie dobrą mam otuchę.
(*do służącego*).
Dasz nam chłodnik... potrawkę, jeśli mięso kruche,
A na trzecie...
(*zamyśla się*)
bekasa...

SĘDZIA.

Ale przed bekasem,
Pan Marszałek staruszki wypije tymczasem.
Chłopcze, daj staruszeczki!

MARSZAŁEK.

Prędko przynoś jadło.

SĘDZIA.

A widzi pan marszałek, jak dobrze wypadło,
Że dzisiaj kropnął deszczyk— toć drożka niekurzy.

MARSZAŁEK (*opinając serwetę*).

Powiém ci, panie sędzio— ten projekt podróży
Wcale mi nie do smakn, choć ja lubię drogę.
Zamykam się w powozie— no! i chrapnąć mogę;
Ale rozpacz porywa w obiadowéj porze:
Znasz, sędzio, nasze karczmy.

SĘDZIA.

Niedopuszczaj Boże!

Znajdziesz tam kwaśne piwko i śledzia kawałek.

MARSZAŁEK.

Więc na licho ta podróż ?!

SĘDZIA (*z uśmiéchem*).

Widzi pan Marszałek,
Trudno czasem odmówić prośbom pięknéj buzi:
«Chce kobiéta—chce Pan Bóg», tak mówią Francuzi,
(*przyjmując od służącego kielich gorzałki*).
W rączki pana Marszałka!
(*wypija mały kielich a nalewa marszałkowi większy*).
Staruszeczka przednia!
Córka pana Marszałka chce jechać do Wiednia,
Chce zwiedzić brzegi Renu, zabawić w Tryeście...

MARSZAŁEK.

A chłodnik czy podadzą ?

SĘDZIA.

Chce do Rzymu wreszcie.

To pięknie, bardzo pięknie... młodziutka się nudzi,
Chce poznać obce kraje, poznać obcych ludzi.
Co robić?... trzeba uledz przed niewieścią władzą.
Zresztą, panie Marszałku...

MARSZAŁEK.

A chłodnik czy dadzą?

SĘDZIA.

Zresztą, panie Marszałku...

MARSZAŁEK.

Z rakami i z lodem.

SĘDZIA.

Podróż do miłych wrażeń staje się powodem.
Pan Marszałek obaczy jakie to słodycze,
Coraz nowy widoczek.

MARSZAŁEK(*zajadając przyniesioną potrawę*).

I ja na to liczę.
Wiedeńskie salcesony głośne w Europie,

W Johanisbergu dobrém winem się zakropię,
W górach Szwajcarskich séry i smaczne i tanie,
A we Włoszech makaron... historyczny panie!
To słyszę piękna ziemia— oliwa dójrzewa,
Sardynki prosto z morza— pomarańcze z drzewa.
Podróż mi się uśmiécha; ale będziem w biedzie,
Póki człowiek ojczyste granice przejedzie:
Och! wiadomo, wiadomo, co u nas podróże!
(*wzdycha*).

SĘDZIA (*z ukłonem*).

Ja panu Marszałkowi do granicy służę;
A mam właśnie kucharza—talencik nielada,
Czy sosik, czy zraziki, czy wreszcie sztufada,
I prędziuchno i smaczno sporządzi jak z płatka;
A wyborny obiadek, życzliwa gromadka,
Jakoś podróż osłodzą...

MARSZAŁEK.

O! dziękuję tobie!

SĘDZIA (*do siebie*).

A w podróży maleńki interesik zrobię.
W mieście pełno młodzieży— tu ciągła przeszkoda,
A w drodze może jakoś zręcznostka się poda,
Przysłużyć się grzeczniutko, cóś przemówić słodziéj:
Pół miljona posagu nie piechotą chodzi.
Dziéwczę wcale nieszpetne.

MARSZAŁEK.

Chłodniki mi służą.
(*smakując resztki w talerzu*).
Wprawdzie za mało octu, a soli za dużo,
A lód niedosyć zimny... ale mniejsza o to.

SĘDZIA.

Winka, panie Marszałku.

MARSZAŁEK.

Wypiję z ochotą.

SĘDZIA.

Czy Reńskie ?

MARSZAŁEK.

Wszystko jedno... Reńskie czy Madera,
Po chłodniku od zimna żołądek zamiera.
(*dzwoni*).
Gdzież służący?.. to kara Boża z tą posługą!

SĘDZIA (*do służącego, który wchodzi*).

Buteleczkę Madery.

MARSZAŁEK.

I potrawę drugą.
(*Służący ustawia potrawy i nalewa wino*).

MARSZAŁEK (*zapijając*).

Biéda!.. biéda na świecie!

SĘDZIA (*z westchnieniem*).

Och! biéda na świecie!

MARSZAŁEK (*jedząc*).

Wiész, sędzio!.. moja Marja, to szalone dziecię:
Natura rozpieszczona, kapryśna, kobiéca,

Dzisiaj chce szyby z okna, jutro kafli z pieca,
I dogodź tu dziewczynie !.. a dogadzać muszę !
Widzę, jakieś cierpienie zatruwa jéj duszę ;
Muszę dzielić jéj myśli, zachcenia i zdania :
U mnie serce ojcowskie, pełne przywiązania...
Choć zresztą dobre dziécię... lecz nazbyt mię męczy:
Bo ja lubię wygodę... minął wiek młodzieńczy...
Pracowaliśmy długo... czas być swobodnemi...

SĘDZIA (*z westchnieniem*).

Wygodka i swobodka— dwa szczęścia na ziemi;
I ja do nich, Marszałku, wzdycham pokryjomu.

MARSZAŁEK (*zapija*).

Widzisz, sędzio kochany... tyś przyjaciel domu,
Ty się ze mną podzielisz mym ciężkim kłopotem.

SĘDZIA.

Marszałku dobrodzieju ! czy wątpiłeś o tém ?
Niech się pańskie serduszko we mnie zabezpieczy.

MARSZAŁEK.

Słuchaj więc...

(*Sędzia przysuwa się konfidencjonalnie*).

MARSZAŁEK (*smakując potrawę*).

Mięso twarde a sos nic do rzeczy!

(*do służącego*)

Uważasz? same kości... same dajesz grzbiety.
Przynieś pieczeń huzarską, lub bite kotlety.

(*do sędziego*)

Słuchaj więc... moje stare zbliżają się lata...

(*do służącego*)

Do kotletów oliwa, ocet i sałata.

(*do sędziego*)

Stare lata nadchodzą... przy inném zajęciu
Czas o córce pomyślić.

SĘDZIA.

A raczéj o zięciu.
Winka, panie Marszałku!

(*nalewa mu kielich, do siebie*)

Jesteśmy ciekawi.

MARSZAŁEK.

Młodzieży bywa dosyć— lecz jéj to niebawi.
Lubiła dawniéj taniec, śpiéw, muzykę, stroje;
Dzisiaj tak posmutniała, że się suchot boję,
Na życia czcze i smutne skarży się koleje,
A co mię bardziéj trwoży... że nic a nic niejé :
Na obiad szklankę mléka... niechże kto mi powié,
Zkąd tu będzie wesołość? zkąd się weźmie zdrowie?
Czyż nie wstyd ci— powiadam — być z tak bladą
twarzą?
Niech ci zrobią rosołu, niech zrazów usmażą,
Posil się, potém zaśniesz— a w jednéj godzinie
Obaczysz, że ci nuda i tęsknota minie.
Czy myślisz, że mię słucha? gdzie tam! ani trocha!

SĘDZIA (*półgłosem*).

Może jaka miłostka... może kogo kocha...
Uważa pan Marszałek.,. potrzeba znać ludzi...

MARSZAŁEK.

Gdzie tam?! zabawa męczy, a młodzież ją nudzi.

Młodzieży dosyć bywa, wszyscy nią zajęci;
Lecz ona dziwactwami każdego zniechęci:
Jeden dla niéj zbyt pusty— trzpioce się jak dziécię,
Drugi zbyt hałaśliwie o postępie plecie,
Trzeci zanadto strojny, urodą się puszy,
Tamten ma pustkę w głowie, tamten pustkę w duszy;
Do każdego cóś znajdzie, wyszuka, dopatrzy...

SĘDZIA.

To znaczy dobrą główkę— rozsądek najrzadszy:
Bo tylko zastanów się Marszałek dobrodziéj,
A pewno swoje zdanie z mojém zdaniem zgodzi.
Patrz na naszych młodzików, przeznaj ich nałogi:
Znajdziesz, wszystko wietrzniki, trzpioty, demagogi!
Córce pana Marszałka z serduszkiem i głową
Słusznie, że się wydają ckliwo i jałowo;
Jéj potrzeba mężulka wcale inszéj treści,
Coby miał wiek dójrzały... tak... lat ze czterdzieści.

MARSZAŁEK.

To może już za wiele.

SĘDZIA.

Tak... trochę zawiele;
Zdanie pana Marszałka z ochotą podzielę.
Więc... *około* czterdziestu... mniéj więcéj tych latek.
Trzeba żeby posiadał powagę i statek,
Człowiek miły, grzeczniutki, choć przyłoż do rany,
I dobrze z interessów biegiem obeznany.
Bo pytam... dać fortunkę młodzikowi z miasta,
Nie tylko nieprzymnoży, lecz jeszcze rozszasta.
Trzeba człeka ze sprytem, co da sobie rady,
Urządzi interessa...

MARSZAŁEK.

Urządzi obiady,
To rzecz ważna w pożyciu.

SĘDZIA.

Tak... tak, nieinaczéj.
A może pan Marszałek jeszcze winka raczy?
(*nalewa wino*)
Potém szklaneczkę lodów... po obiadku zdrowo...

Powinien mieć fortunkę i kwotę gotową:
Bo też dając posagu, pół miljona słyszę,
Niech pan zięć ewikcyjkę na dobrach zapisze.

MARSZAŁEK.

Pół miljona posagu!! co ci sędzio w głowie?

SĘDZIA (*obojętnie, pijąc wino*).

A wieleż?.. tak... naprzykład...

MARSZAŁEK.

Coś dać postanowię,
Może jakich ze trzykroć... ze czterykroć może...
(*ziewa*)

SĘDZIA (*na stronie*).

Trzeba go tylko w dobrym utrzymać humorze.
Obiadek jakoś trafi do serduszka sknery.
Hm... licząc sześć procentów... to dwadzieścia cztéry..
Niezła roczna intratka... śmiało w imie Boże!
(*głośno*)
Marszałku dobrodzieju! niedyskretnie może,

Gdy się spytam... tak sobie... przez ciekawość marną:
Czy w gronie tych młodzików, co się zewsząd garną,
Upatrzyłeś już kogo... tak sobie... zdaleka?..

MARSZAŁEK.

Uważałem przed rokiem młodego człowieka,
Który ją szczerze kochał— prawda, człek ubogi.

SĘDZIA.

A jakaż ewikcyjka?...

MARSZAŁEK.

Poczekaj, mój drogi!
Z dobrém sercem...

SĘDZIA (*na stronie*).

To mniejsza—ciekawość mię drażni...

MARSZAŁEK.

Nieboszczyk jego ojciec był ze mną w przyjaźni;
Biedak, w końcu podupadł,to się wszystkim zdarza...
Ale jakie miał wina!.. jakiego kucharza!

To, powiadam ci, rozkosz nad wszelkie wyrazy!...
Bywało zrazy dają... a ja lubię zrazy...
Tylko, sędzio... uważasz, jam kapryśnik stary:
Sos powinien być wonny i pieprzny do miary,—
Niedodawać doń octu— tego nienawidzę;
Lecz za to ujdą trufle, albo świeże rydze,
Dobrze podsmaż cebulkę... to choć zaproś króla!

SĘDZIA.

O! dla mnie to przysmaczek, smażona cebula!
Lecz ten pan, co o rączkę twéj córki się stara...

MARSZAŁEK.

Poczciwy, lecz ubogi...

SĘDZIA.

To nierówna para.

MARSZAŁEK.

Syn mego przyjaciela....

SĘDZIA.

I tego niedosyć.

MARSZAŁEK.

Umie swój niedostatek z godnością przenosić.

SĘDZIA.

I to jeszcze nie powód.

MARSZAŁEK.

Ma ciotkę bogatą,
A kocha moję córkę...

SĘDZIA.

A ona co na to?

MARSZAŁEK.

Wiedziałem, że go kocha— i byłem już gotów,
Dla jego pięknych zasad, dla dobrych przymiotów,
Powierzyć mu jéj rękę... Skrycie się kochali;
Potém on gdzieś wyjechał, o sto mil czy daléj,
Ona długo chodziła tęskna a wybladła,
Wzdychała co godzinę— nic a nic niejadła;
Aż mi był żal niebogi... wtém nadszedł karnawał,
A pamiętam jak dzisiaj— miałem sarny kawał,

Ruszam tedy konceptem na jaki mi stanie,
I całą naszą młodzież spraszam na śniadanie;
Potém jakoś na obiad... potém wieczor dałem...
Uważam... moja Marja tańcuje z zapałem;
Już wzdycha coraz rzadziéj, a częściéj się śmieje...
Ten i ów, jak uważam, już powziął nadzieję.
Ja na takie odmiany zdala sobie patrzę.
Dziś chce być na wieczorze, a jutro w teatrze,
Pojutrze na szlichtadzie i znów na wieczorze,
Słowem... tak się roztrzpiota, że niedopuść B o ż e!
Wtém— dawny jéj kochanek, co rok tu niepostał,
Powrócił... wyznał miłość— i odkosza dostał.
Jeszcze ze dwa miesiące bawił ją wir ludzi;
Potém znów zesmutniała, znowu świat ją nudzi,
Poczęła się urągać z całéj naszéj młodzi,
I znowu często wzdycha— oko łzą zachodzi,
Nic nie jé... znak widoczny, że zdrowie nie służy...
A teraz już się gwałtem napiera podróży,
Rad nie rad muszę jechać...

SĘDZIA (*na stronie*).

To ciekawe rzeczy...
Więc to miłość... miłostka... czyż podróż uleczy?..
Lecz nietraćmy nadziei... posażek bogaty,
Do trzydziestu tysiączków doroczněj intraty...
Młode piwko wyszumi... jakoś się uchodzi...

(*głośno*)

Otoż tedy, uważa Marszałek dobrodziéj,
Nic niemasz nad wojażyk— rozerwie się trocha,
Może kogo pokocha...

(*na stronie*)

I pewno pokocha.
Ja będę jéj wyrządzał grzecznostki nieznaczne,
Poczuę na nią poglądać, potém wzdychać zacznę,
Zlekka poczernię włosy, które śnieżek pruszy,
I powoli... powoli... wkradnę się do duszy...
Interessik niezgorszy— poprobujmy doli...
Trzeba tylko grzeczniutko, słodziutko, powoli,
A może się powiedzie na drodze zalotów...

SŁUŻĄCY (*wchodząc*).

Pański powóz już gotów.

MARSZAŁEK (*budząc się*).

Co! powóz już gotów?

Weź tedy kosz Madery i séra na drogę:
Czasem, widzisz, od nudów posilić się mogę.
W powóz włożyć poduszkę i dwa materace.

(*dzwoni*).

A podajcie rachunek!

SĘDZIA (*z ukłonem*).

O! ja sam zapłacę:
Marsz łku dobrodzieju, o! Pan Bóg mi świadek,
Chcę mieć szczęście, że dzisiaj mój zjadłeś obiadek—
Rozliczymy się w drodze.

MARSZAŁEK.

Niechże i tak będzie.

(*do służącego*)

W powozie miękką pościel proszę mieć na względzie.
Włożyć mi jaką xiążkę— chociaż nie literat

Muszę teraz xiążkami bawić się rad nierad:
Bo czytając najlepiéj zasypiać w dni słotne.

SĘDZIA.

Mam tu właśnie *Gawędki i rymy ulotne*;
Autor ich doświadczony czy w wierszu czy w prozie.
Ręczę, że pan Marszałek wnet uśnie w powozie
Na najpierwszéj karteczce— doświadczona proba !

MARSZAŁEK.

O ! to... to ! panie sędzio!.. to mi się podoba !
Z tylu xiążek, co dzisiaj piszą dla pieniędzy,
To mi dzieło najlepsze, co uśpi najprędzéj:
Jest przynajmniéj cel pisma...

SĘDZIA.

A wierszyków zwłaszcza.

MARSZAŁEK (*do służącego*).

Dać mi ciepłe kalosze, niezapomnieć płaszcza...
Szlafmycę i parasol : bo na deszcz się zbiera;

Flaszę Gdańskiéj gorzałki, sucharków i sera,
Lulkę, tytuń, krzesiwo... No, bywajcie zdrowi!
Ruszajmy, panie sędzio!

SĘDZIA.

Służę Marszałkowi.

(*Odchodzą*).

USTĘP TRZECI.

Przed schludną chatką w lesie, MATEUSZ *na stole suszy ziołka, i mówi zwolna do siebie*:

O święty Mateuszu! chcę płakać jak dziecię!
Jak to wszystko i dobrze i mądrze na świecie!
Parę garsteczek zielska... ot suche badyle!
A tu zdrowia ludzkiego, tu Bożych łask tyle!
W każdém marném ziółeczku jakiś dar ukryty:
Ot *Absinthum vulgare,*—piołun pospolity
A od febry jedyny!— ot garstka rumianku,
Jak od rozlicznych chorób leczy bez przestanku!

Żywokost na ból piersi cudownie pomaga,
Na wściekliznę wyborna *alismo-plantaga*,
Ślaz pomagał od kaszlu w najdawniejsze czasy,
Kmin wyborny do chleba—majran do kiełbasy,
Mięta na ból w żołądku, choćby B ó g wié jaki,
A tomka i bławatka— pyszne do tabaki !...
O święty Mateuszu ! o święty Ambroży !
Jakto w każdéj roślince kryje się duch B o ż y !
Ja człowiek nieuczony— a w głowie się kręci,
Że te dary być muszą dla jakiéj pamięci.
Ot może dano ziołkom własność i nazwanie
Gdy się C h r y s t u s w Betlejem urodził na sianie,
Więc każda marna trawka z owéj garstki siana
Jakowémś dobrodziejstwem została nadana...
Och! wielkie dobrodziejstwo, zwłaszcza tutaj w lesie,
Gdzie lekarz wieśniakowi ratunku nieniesie,
Gdzie jednym prostym środkiem, jedną garstką ziela,
Niejednemu człekowi zdrowie się udziela...
Pan Henryk, daj mu B o ż e, i życie i zdrowie,
Wskazał mi każdą trawkę, uczył jak się zowie,

Pokazał jak się źbiera, jak się wszystko suszy,
Zkąd ludzkość ma pożytek, a on szczęście w duszy..,
Cóż za dziw, że tu biegną, jak na odpust jaki
Przygnębione chorobą i pracą biedaki?
Że tak go błogosławi okolica rada?
A téj pięknéj zasługi i na mnie cóś spada!
Bo się ziółeczka źbiera, układa i suszy,
A czasem cóś zaradzę w prostocie méj duszy;
Medycyna nietęga— ale chęć życzliwa:
Ja tylko pocznę leki, a B ó g dokonywa.

(*Wchodzi Trzaska ze strzelbą i torbą myśliwską*).

MATEUSZ TRZASKA.

—

TRZASKA.

Dobry dzień, Mateuszu!

MATEUSZ.

Kłaniam, panie Trzaska!

A pochwalić C h r y s t u s a czemu to nie łaska?

TRZASKA.

Otoż widzisz, że z waścią wieczysty *certamen.*
Niechże będzie pochwalon...

MATEUSZ.

Na wieki i amen.
Zkąd to Pan B ó g prowadzi?

TRZASKA (*z mocną gestykulacyą*).

Otoż widzisz, z lasu.
O źwierzynie na święta myślałem zawczasu,
Wyszedłem gdzie przed świtem—a prześliczny ranek.
Myślę sóbie, ot widzisz, u waszych polanek
Jest niezłe tokowisko... Zaczajam się w budzie:
Przyleciał jeden cietrzew... palę w łeb marudzie,
Zatrzepotał skrzydłami i padł gdzieś w chruśniaki.
Powiadam... otoż widzisz... biorę stępel, kłaki,
Czyszczę strzelbę, nabijam, tulę się w zacisze,
Czekam całą godzinę— i znów szelest słyszę:

Siadł cietrzew zakochany z postacią wychudłą,
Zmierzyłem się... palnąłem... otoż widzisz, pudło...
Zbladł cietrzew' i poleciał het gdzieś pod Stawiszcze!.
Zakląłem do sta czartów— i znów strzelbę czyszczę,
Nabijam... znów cieciorka zaszumiała w głuszy,..
Palę... krzyknęła: J e z u s ! i padła bez duszy.
Czekam daléj... snem trochę zdrzymało się oko...
Cietrzewi więcéj niéma, a słońce wysoko...
Myślę sobie... ot widzisz... na dziś—doskonale !
Czach! wykrzesałem ognia i fajeczkę palę
Nic nikomu niemówiąc... Wtém... patrzę pod krzyże:
Sadzi szarak, Mospanie, i uszami strzyże,
Zatrzymał się pod brzozką i wyprężył słuchy...
Ot widzisz... myślę sobie— fajkę do pazuchy,
Strzelbę na cel... pęc w piersi... zerwał się i zmyka!
Ja zrywam się... postrzegam, jest krew' u kamyka,
Hejha za nim! on w pole—ja jak chart przez miedze;
Gdy go z oka utracę, to po tropie śledzę...
Krwi w tropie coraz więcéj— podstrzeliłem znaczy.
On na górę, ja za nim... mój szarak w rozpaczy,

Chromiąc stoczył się na doł— i ja sadzę dołem;
Chciał jegomość w zaroślc— ja drogę przeciąłem...
Ot widzisz... myśli sobie: tu niesłuży rada,
Siadł pokornie, i łapki jak do prośby składa;
A ja niedługo myśląc, kolbą w łeb i basta,
Padł szarak... a godzina pewnie jedynasta!
Głód ozwał się w żołądku—niewytrzymam dłużéj—
Patrzę w koło... ot widzisz: u was dym się kurzy...
Myślę sobie: to dobrze! teraz hulaj dusza,
Zajdę tędy odwiedzić pana Mateusza!
Stuknę kielich gorzały na dobry początek,
Da mi kawał wędzonki...

MATEUSZ.

Ależ dzisiaj piątek.

TRZASKA.

A.. piątek... otoż widzisz...

MATEUSZ.

Dam waszmości mléka.

TRZASKA.

Aże mi ztąd do domu wędrówka daleka,
I ciężkoby się nosić z zającem, z cietrzewiem,
To niech u was zostaną.

MATEUSZ.

Dalibógże niewiém!
Waść, jak zwykle, niezechcesz wziąść pieniędzy za to..

TRZASKA.

Otoż widzisz, że zgadłeś—schowaj się z zapłatą.

MATEUSZ.

A brać darmo niemogę... pan mi natrze uszu.

TRZASKA.

Otoż widzisz, że bredzisz, panie Mateuszu!
U nas z panem Henrykiem oddawna na pieńku:
Ja mu dług mój sowity spłacam pomaleńku...
Długoby o tém gadać— a tu głód dokucza.
Brrum!...

MATEUSZ.

Zaraz podam mléko i poszukam klucza,
To może się tam w szafie znajdzie i gorzała.
(*Odchodzi*).

TRZASKA.

O!! macie Szaciłówkę!.. wiém, że doskonała!
Choć się u was zapasy nietrzymają doma:
Nasza szlachta— ot widzisz, na starkę łakoma,
A wy ludzie poczciwi i uprzejmi w chacie,
Co B ó g dał, przed drugimi pewno nieschowacie.
Taka wasza natura... ot widzisz— natura;
Kto do was zakołata, to zawsze cóś wskóra:
Porada, dobre słówko, albo chléba kawał,
A niejeden i większéj pomocy doznawał.
Kto, naprzykład, Maciejom dał grosza na woły?
Pan Henryk...

MATEUSZ (*wchodząc ze śniadaniem i ustawiając je*).

A kto zboże zwiozł nam do stodoły?
Maciéj.

TRZASKA.

A kto przykarmił Płodozmiana wioski?

MATEUSZ.

A kto nam żąć pomagał? czy nie lud sędziowski?

TRZASKA.

Kto staremu Janowi dopomaga wszędzie ?

MATEUSZ.

A kto nam pszczół dopatrzy gdy Jana niebędzie ?

TRZASKA.

Otoż widzisz... odpowiedź jak z rękawa sypie.
A kto wspiéra cichaczem wdowę po Filipie?
Mów szczérze... bez kręcielstwa.

MATEUSZ.

At, Bóg wié, co plecie!
Niéma co takich rzeczy roztrąbiać po świecie.
W pismie świętém kazano nieść pomoc dla braci,
Ten, co w skrytości widzi, w skrytości zapłaci.

Ot lepiéj dajmy pokój drażliwéj rozmowie...
(*przepijając gorzałkę*).
W ręce Jegomościne!

TRZASKA (*z ukłonem*).
Daj, Boże, na zdrowie!
(*przyjmując nalany kielich*).
Setne lata waszmości!
(*pije*)
Ot widzisz, że tęga!
Aż orzeźwia żołądek, aż serca dosięga!
A to co? otoż widzisz, rzodkiewka i masło...
(*zajadając*)
Lubię... lubię i chowam wdzięczność niewygasłą
Za gościnne przyjęcie— miła dla was praca...
Gdzież, panie Mateuszu, twój pan się obraca?

MATEUSZ (*zajadając*).
Zrana konno gdzieś czmychnął.

TRZASKA.
To nie bez kozéry.

Przysiągłbym—otoż widzisz—jak dwa a dwa cztéry,
Że się po to sam jeden wymyka z ukradka,
Iż dobrego uczynku niechciałby mieć świadka ;
On się dobrych uczynków tak wstydzi jak grzechu...

MATEUSZ.

Co tam... dobrych uczynków — prosto dla pośpiechu:
Bo tu ważny i moment zyskany na czasie.

TRZASKA.

A co jemu tak pilno?

MATEUSZ.

Podsędek źle ma się.
Pan Henryk po proboszcza ruszył do Źrzódliska

TRZASKA.

Otoż widzisz, że przyszła kryska na Matyska !
Zle ma się... a toż jeszcze na przeszłéj obławie
Czy pamiętasz jak stary dokazywał żwawie?
Staremu koncepciście język nieumilka,

Łgał za trzech, pił za sześciu i zastrzelił wilka!
Myślę sobie: ot widzisz—dziad stary a jary...

MATEUSZ.

Niezbadane Najwyższych wyroków zamiary.
Niedosyć, że do śmierci zwinął się w pośpiechu,
Lecz omal że nieumarł we śmiertelnym grzechu
I nieposzedł do piekła...

TRZASKA.

A toż co nowego?

MATEUSZ.

Niech nas od zawziętości wszyscy święci strzegą!..
Miał młodego synowca—ot zwyczajnie zucha:
Młodzik pije, gra w karty, starego niesłucha,
Sprawiał sobie hulanki w gromadzie współbraci,
Zadłuży się po uszy — to stary zapłaci.
Tak było raz i drugi— o święty Ambroży!
Potém, coraz to częściéj, co daléj to gorzéj;
Podsędek się rozgniéwał, a gdy opór spotka,

Powiedział: wydziedziczę i przeklnę wyrodka!...
Tymczasem... Pan B ó g łaskaw, wola jego święta,
Młodzik począł statkować, już się opamięta,
W przeprosiny do stryja, buch do nóg i kwita!
Ale stryj rozdąsany przeklęctwem go wita,
Wypędza ze swych progów— i tak się rozdąsa,
Że gniéw, co w jednéj chwili namotał na wąsa
Do śmierci w nim niegasnął... A my tu sąsiedzi;
Czasem, widzisz, pan Henryk starego odwiedzi,
Ogra go w marjasika, zaprosi na wino,
Że stary tu znajdował przyjemność jedyną.
Tak się w nim rozmiłował, że teraz w chorobie
Chciał mu wszystko zapisać.

TRZASKA.

Widzisz, myślę sobie!
A cóż na to pan Henryk?

MATEUSZ.

A święty Gierwazy !

Czyż można było przyjąć bez Bozkiéj obrazy?
Nieprzyjął...

TRZASKA.

Co ja słyszę!

MATEUSZ.

Stary ani słucha!
Pan Henryk do proboszcza— i tu sprawa krucha.
Proboszcz moralizował— bo głowa nielada;
Lecz jak wspomnieć synowca,dziad w gorączkę wpada,
O święty Mateuszu! aż przechodzą dreszcze:
Na ostatniéj spowiedzi przeklinał go jeszcze!
Pan Henryk był w kłopotach—po chwili.. po chwili...
Z proboszczem gniéw podsędka jakoś złagodzili;
Synowiec się ukorzył—no! i dostał spadek;
A pan Henryk spokojny.

TRZASKA.

To dziwny wypadek!
Mów, co chcesz, Mateuszu,... a ja powiém śmiało:
Gdy stary dawał zapis— to brać należało.

Majątek rzecz niegłupia... ot widzisz, niegłupia.

MATEUSZ.

A przez niego najpewniéj piekło się dokupia.
Dobry on kiedy pracą nabyty godziwą;
Lecz pan Henryk wié dobrze, co prawo, co krzywo...
Lecz dotąd cóś go niéma...

TRZASKA.

Otoż widzisz, niéma...

MATEUSZ.

Zapóźniać się na obiad, to jego systema,
A to źle: bo nic niejadł od samego ranka.
Ale za to go czeka dobra niespodzianka:
Twój zając, panie Trzaska, spada jakby z nieba,—
Tylko prędko z pieczystém zwinąć się potrzeba.
Poczekajcie tu nieco, bądźcie tak łaskawi,
Powiém staréj kucharce, niech się szybko sprawi.

(*Odchodzi*).

TRZASKA (*do siebie*).

Majątek, to rzecz piękna!! nieprzyjąć majątku!
Że Mateusz żartuje sądziłem z początku...
Nieprzyjąć... krzywda ludzka... ot widzisz, sumienie!
Trzeba serca nielada... kłaniam uniżenie...
A ja na jego miejscu? no! pomyślić muszę!...
Ten człowiek ma, doprawdy, chrześcijańską duszę,
Duszę wielką i piękną—widać to zdaleka...
Jabym niebo przychylił dla takiego człeka;
On wart mego zająca... i dobrze się stało,
Że ja mu niespodziankę uczyniłem małą,
Samemu lżéj na sercu... za tak piękne czyny
Warto ci, panie Trzaska, stuknąć gorzaliny.
(*wychyla kielich*).
Brr... aż chce się zaśpiéwać mimo własnéj wiedzy
Piosenkę o zającu, co siedzi na miedzy...
(*mruczy piosnkę*).

Wchodzi kilku wieśniaków, potém Mateusz wychodzi z chatki.

WIEŚNIACY.

Niech będzie pochwalony!!

TRZASKA.

Na wieki, na wieki!

MATEUSZ.

Co chcecie, dobrzy ludzie?

JEDEN z WIEŚNIAKÓW.

Ot, tam od pasieki,
Na waszmościów granicy, nieskoszona łąka,
To czasem się bydełko i nasze zabłąka,
Może wam zrobić szkodę—to i grzech na duszy.
No! dzisiaj mamy piątek... słonko nieźle suszy...
Pańszczyzny dzisiaj niéma... więc my rada w radę:
Wójt do karczmy na czarkę zaprosił gromadę,
A przy czarce już taka stanęła umowa,
By skosić waszą łąkę...

MATEUSZ.

Na to ani słowa.

WIEŚNIAK.

Dziś zetniem— przy pogodzie jutro kopki staną.

TRZASKA.

Ot widzisz, Mateuszu, to będzie i siano,
A ja przyszlę do zwozki koniska i kary.

MATEUSZ.

B ó g wam zapłać za wasze dary i ofiary...
Lecz pana niemasz w domu.

WIEŚNIAK.

To i cóż, że niema?

MATEUSZ.

Za robotę zapłata— to jego systema,
Prawda ewangeliczna— a ja niemam groszy.

WIEŚNIAK (*drapiąc się w głowę*).

Ejże, szlachta, wy szlachta ! każdy się panoszy,
Każdy patrzy z wysoka na biédnych nędzarzy,
Kiedy nieskrzywdzi czynem, to słowem znieważy.

Człowieka, co w siermiędze, żaden nieoceni:
Daj mu serce — on rękę zaraz do kieszeni,
Zaraz ludzką przysługę mieniać na miedziaki...
Ej, panie Mateuszu! to zły zwyczaj taki!

MATEUSZ (*zakłopotany*).

A święty Bonifacy! już Szymon i w złości!

WIEŚNIAK.

A bo to ciężka krzywda, proszę Jegomości!
Już drugi raz jak przyjdę i o co poproszę,
Waszmości za fatygę przyniosę trzy grosze.

TRZASKA (*śmiejąc się*).

Masz byka za indyka! otoż widzisz! brawo!

WIEŚNIAK.

Bo kiedy wasz pan Henryk krzątał się tak żwawo
I wyleczył mi ojca...

DRUGI.

Kiedy w przeszłym roku

Karmił moję czeladkę zbożem swego toku...

TRZECI.

Gdy cały rok na rybę pożyczał mi siatek...

INNY.

Gdy mi garścią pieniądze dawał na podatek...

PIERWSZY.

To każdy z naszéj włości przyjął wasze wsparcie
I o żadnéj zapłacie niemówił otwarcie,
Zakarbował na sercu, co spłacić niemoże,
I westchnął w głębi duszy: wynagrodź mu B o ż e!..
A kiedy my w prostocie i biédnéj chudobie
Przysłużyć się waszmościom uradzimy sobie,
To wy zaraz liczycie na grosze, na złote.

MATEUSZ.

No dosyć tego... dosyć.

WIEŚNIAK.

Idźmy na robotę.

(*odchodzą*).

MATEUSZ I TRZASKA.

—

TRZASKA (*biorąc strzelbę*).

A ja pójdę się przespać: bo sen klei oczy.
(*patrzy z za parkanu na drogę*).
Ot widzisz Mateuszu, któś tu do was kroczy,
Jakiś pan... strój podróżny... ale gęsta mina.
Ot widzisz! któś znajomy! cóś się przypomina!..
Dalipan to Płodozmian! czy go licho niesie!?
Ten samy, co wam przedał ot tę chatkę w lesie,
I którego włościanie odeszli w téj chwili.
Tego lisa, mospanie, zwietrzę o pół mili !
Bo dał się nam we znaki swoją pańską łaską...
(*przedrzyźnia*)
A duszeczko... a rybko... a kochany Trzasko !
Wypuść mi na trzy lata włokę sianożęci...
Ot widzisz, myślę sobie— choć to mimo chęci,
Jakoś zrobię dogodność dla tego paniska :
On tak się nizko kłania— tak grzecznie uściska..,

Wypuściłem... ot widzisz., rok drugi i trzeci
Na moje sianożęci mucha niezaleci,
Taki rygor, mospanie!... Myślę sobie: *bene* !
Ale w ośmset cztérdziestym łąki poszły w cenę,
W cztérdziestym piérwszym wyżéj — potém wyżéj jeszcze.
W cztérdziestym czwartym powodź — skrzywdziły mię deszcze...
Myślę sobie... ot widzisz— w tak krytyczną porę
Od pana Płodozmiana sianożęć odbiorę.
Więc przychodzę do niego o zwrót łąki prosić—
Jak mi pocznie graniczne dokumenta znosić,
Stare, mospanie, mappy, stare inwentarze,
Że moja łąka leży w jego łąk obszarze,
Że on mi jeszcze pola na połowę przetnie,
Że już używalności zyskał kilkoletnie!..
Bez kontraktu... bez śladu— myślę sobie : biéda !
Ot widzisz, do własności powrócić mi nieda,—
A jeszcze mi processem zakłopota głowę...
Więc tak, Krakowskim targiem, łąkę na połowę;

Myślę sobie: bierz licho! z napaści niezginę;—
Tylko excypowałem na łące źwierzynę,
A łąka już została przy panu sąsiedzie.
Szczęściem teraz pan Henryk siadłszy na téj schedzie,
Powrócił moję własność...
(*znowu patrząc za parkan*)
Czego on tu szuka?
Strzeżcie się, Mateuszu, bo to kręta sztuka!

CIZ i PŁODOZMIAN.

PŁODOZMIAN (*wchodząc na dziedziniec oglą-da się w około*).

Czy mnie oczy zawodzą?.. Piękniešmy zbłądzili:
Toż *Czartowa pustynia*—z drogi więcéj mili.
(*patrzy na zegarek*).
Godzina... w pół do piérwszéj—przeklęty przypadek!
A jaż chciałem Marszałka prosić na obiadek,
Już do mojego gruntu zbliżali się goście...

Lecz paliki popsute, powóz pękł na moście.
Dopóki znajdę ludzi, nim powóz wywleką,
To będzie pół do drugiéj— a dworek daleko,
A obiadek ostygnie— Marszałek zły srodze —
Cóś mój piękny projekcik na niedobréj drodze...
Tak — *Czartowa pustynia...* moja chatka
w lesie...
Aż słodziutko, gdy wspomnę o tym interesie :
Przedałem ją tak świetnie— w poczciwości ducha
Poeta sypnął groszem, niechże w rączki chucha !
To niewarto pięciuset— wziąłem dwa tysiące...
Patrzcie... patrzcie... i rowy pokopał na łące—
I domeczek zbudował— i klombik przy sośnie —
I żytko na piaseczku bardzo pięknie rośnie...
Piękna gospodareczka !... czarodziejska scheda !
Trzeba będzie pogadać : może mi odprzeda.
Lecz śpieszmy: bo Marszałek zły, że się marudzi.
(*podchodząc do Mateusza i Trzaski*)
Kochany staruszeczku!— czy tu niéma ludzi?

MATEUSZ.

Ludzi? święty Gierwazy!

P. SĘDZIA.

Tak, ludzi, duszeczko.
Na mostku... na grobelce... tuż pod samą rzeczką
Załamał się mój powóz.

MATEUSZ (*przestraszony*).

A święty Antoni!
Zaraz... zaraz... są ludzie! kosarze na błoni!
Huknę!.. i wnet się pańska wydźwignie kolaska.
(*odchodzi*).

SĘDZIA (*postrzegając Trzaskę*).

A, duszeczko! a rybko!.. a kochany Trzaska!
Jakże mi odmłodniałeś! twarz jak kwiatek róży!
A zawsze ze strzelbeczką— polowańko służy!
Utyłeś, dzięki B o g u, i to ci do twarzy,—
Zawsze tęgi myśliwy— zajączki w lot praży...
A pieski zawsze trzymasz?... i jak ci się wiodą?

TRZASKA.

Ot widzisz pan, mam charta i wyżlicę młodą.

SĘDZIA.

To pięknie, to prześlicznie ! a jakże ich zową?

TRZASKA.

Charta nazwałem Doskocz, wyżlicę Ponową ;
Oba wyborne psiska.

SĘDZIA.

To bardzo przyjemnie.
Doskocza i Ponowę pogłaskaj ode mnie,
I powiedz im...

TRZASKA (*do siebie*).

Ot widzisz, dla psów ma ukłony !

SĘDZIA.

I powiédz im, że kiedyś przyjadę w te strony
Tożto popolujemy po kniejkach, po błocie !

MATEUSZ (*wchodząc*).

Miałem tu z pańskiéj wioski ludzi na robocie ;
Jakem tylko powiedział— a święty Antoni !
Jak się zerwą z przestrachu, jakby na sto koni,
Polecieli do mostku bez czapek i boso,
I pewnie pański powóz na rękach wyniosą.
Znam ten lud— u nich ręce do pracy olbrzymie...

SĘDZIA.

Dziękuję, staruszeczku— a jak ci na imie?

MATEUSZ.

Dzięki B o g u, Mateusz.

SĘDZIA.

A, to dzięki B o g u !
Co za szczęście, żem trafił do waszego progu!
Myślałem, że już w błotku zanocuję sobie.
A twój pan?

MATEUSZ.

Niéma w domu.

SĘDZIA.

Słyszę, po chorobie.

MATEUSZ.

Miał nerwową gorączkę...

SĘDZIA.

Gorączka nerwowa
Ale zdrów dzięki B o g u? niech go B ó g zachowa!
To wyborniutki człowiek— tylko smutny nieco.

TRZASKA (*z przekąsem*).

A jaki dobry sąsiad— to szukaj ze świecą!
Człowieka niepokrzywdzi, jeszcze zapomoże;
Nie tak, jak u nas dawniéj.

SĘDZIA.

A! to szczęść mu B o ż e!
A wyborny gospodarz, choć świéżutkiéj daty.
Widzę... musi tu zbiérać grosiwko z intraty,
Dokupił, słyszę, schedkę, poosuszał łączki,
Krówki widziałem spore i tłuste jak pączki,

W ogródku są gruszeczki i gatunek rzadki.
(*do Mateusza*)
A wieleż tam mniéj więcéj może mieć intratki?

MATEUSZ.

A święty Bonifacy! zkąd ja wiedzieć mogę?

SĘDZIA.

Jednak dałbym uwagę, jedniutką przestrogę:
On ma talent rolniczy, służy mu ochota,
Szkoda, że się tak marnie zagrzebał do błota.
Mam większy mająteczek — obszaru niepomnę,
Przedałbym go z ochotą... waruneczki skromne:
Kilkanaście tysiączków— to niewielka biéda;
A Czartową pustynię może mnie odprzeda...
Jak myślisz, Mateuszu?

TRZASKA (*z przestrachem*).

Niech go Pan Bóg broni!

MATEUSZ.

Słychać turkot powozu i stąpanie koni.

To pewno pański pojazd...

SĘDZIA.

O lecę już lecę!

Czy tam nieszwankowały ubiorki kobiece?
Pozwolisz, Mateuszu! tu spoczniem potrosze.
(*wybiegając naprzeciw powozu*)
Marszałku dobrodzieju! tu zajechać proszę!

CIŻ, MARSZAŁEK i MARYA.

—

MARSZAŁEK.

Niech wam Bóg niepamięta téj waszéj podróży!
A kołysze, a trzęsie, a budzi, a nuży,
A cały ranek chłodno, na popasie głodno,
A na nocleg czy znajdziesz oberżę wygodną!

SĘDZIA.

Mój Marszałku...

MARSZAŁEK.

Mój sędzio! póki do granicy
Powiedziałbyś, że żyją jacyś ludzie dzicy:
Niewyporządzić mostu!— fi! aż słuchać zgroza!
Trzeba powóz dobywać z pomocą powroza,
Na groblach koło skrzypi, zarzyna się, śliźnie,
Sądziłby cudzoziemiec, że jest w Tatarszczyźnie...
Toż przecię nasza Litwa niby Europa!

TRZASKA (*z ukłonem*).

Ot widzisz, proszę pana— bo tu ręce chłopa
Pan sędzia do pilniejszéj roboty obraca,
Naprawiać groble, mosty, nieintratna praca.
To most pana sędziego — na bagnistéj łące;
Nieraz tam kark kręciłem pędzając zające...
Koń leci... otoż widzisz— spotknie się i pada,—
A gdybym nieszanował pana i sąsiada,
(*kłania się sędziemu*).
To mi tyle na grobli zemknęło zajęcy,
Że posłałbym dziedzica do kroć set tysięcy!

Ale jakoś mi Pan B ó g cierpliwość dodawa...
Ot widzisz, myślę sobie : to sąsiedzka sprawa.
(*kłania się znowu sędziemu*).
Gdy nieskręciłem karku jeszcze B o ż a łaska...
Co insza pan Płodozmian, co insza pan Trzaska.

MARSZAŁEK.

Jakto sędzio ! ten mostek czyż na twojéj ziemi?

SĘDZIA.

Marszałku dobrodzieju ! sprawami różnemi
Człek zawsze zatrudniony, po uszy, po szyję,
Niezajrzy do wioseczki— a tu mostek gnije,
A grobelka opada...

MARSZAŁEK.

No ! mniejsza z tym mostem;
Lecz dziś nie wielki piątek—a ja jestem z postem.
Czy tu niemożna kupić, albo czego dostać?
Tego dworku, jak widzę, przyzwoita postać.
(*do Mateusza*)
Pan jesteś gospodarzem?...

MATEUSZ.

A święty Wincenty!
Pan mój dzisiaj ważnemi sprawami zajęty;
Ja tylko jestem sługą.

MARSZAŁEK.

Sługą?

MATEUSZ.

To i owszem:
Bo pan Henryk napoił mię pojęciem zdrowszém;
Człowiek nie w ciemie bity z jego słów korzysta:—
Wiém dobrze, że gość w domu, to zastępca Chrysta;
«*Si hospes, Chrystus venit*» — mówi xiądz wikary...
Jest zając na pieczyste, do niego sos szary,
Do zająca sałata z octem i z oliwą.

MARSZAŁEK.

O! to, to, mój poczciwcze! tylko dawaj żywo!
Sałata... bardzo pięknie... ale przed sałatą...

MATEUSZ.

Niemamy win zamorskich; lecz jest starka za to
Z osimset dwónastego...

MARSZAŁEK.

Historyczna starka!
A czyjaż tu dla Boga taka gospodarka?
Intrygujesz mię waszmość... twój pan jak się zowie?

MATEUSZ.

Pan Henryk.

MARSZAŁEK.

Co?

SĘDZIA.

Poeta!

MARSZAŁEK.

No! ani mi w głowie
Żeby się zdali na co Apollina dzieci...
Zając—starka—mój sędzio! niech żyją poeci!
Takich ludzi poszukać choć z latarnią we dnie.
Poczciwy, dobry Henryk!!

SĘDZIA (*do Maryi*).

Czego pani blednie?

MARYA.

Tak... znużenie podróży...

SĘDZIA.

Znużenie podróży...
Niechaj się pani przejdzie, to na zdrowie służy.

(*podaje rękę*).

Unużenie w podróży, to jak ciężka praca.

MATEUSZ (*patrząc za parkan*).

O święty Mateuszu! pan Henryk powraca!
Prędzéj stół nakrywajcie i potrawy znoście...
Jakże będzie szczęśliwy, że ma w domu goście!

USTĘP CZWARTY.

(*Wnętrze chatki—pokój stołowy*).

MARSZAŁEK, PŁODOZMIAN, HENRYK, MARYA i w progu MATEUSZ.

(*wstają od stołu*).

MARSZAŁEK (*uściskając Henryka*).

Obiad, panie Henryku, to gody Gamasza!
Bogdajby tak się wiodła cała podróż nasza!
Pyszny kwasek z zająca—z cietrzewia pieczyste—
Świadectwo gościnności dają uroczyste...

(*do służącego*)

I o tobie powziąłem wrażenie korzystne,
Kochany Mateuszu! niechże cię uścisnę!

MATEUSZ.

O święty Mateuszu! to już pańska łaska...

MARSZAŁEK.

Niech mi zawsze tak trafnie powóz się roztrzaska,
To niepowiém i słowa.

(*Ziewa*).

SĘDZIA (*uściskając Henryka*).

Tak, drogi sąsiedzie,
Uraczyłeś obiadkiem.

MARSZAŁEK.

Ale po obiedzie
Każe stary obyczaj przedrzymać się chwilę...
Czy zaśniesz, panie Sędzio?

SĘDZIA.

Ja zasnąłbym mile;

Lecz niemam chwilki czasu: bo coś mi się marzy,
Że kochany mój sąsiad nieźle gospodarzy.
Przystroił chatkę w lesie, jak wianuszek wonny,
Toć użętek w stodółce musi być niepłonny.
Widziałem na dziedzińcu jakiegoś wyrostka,
Gospodarska ciekawość—prosta ciekawostka,
Każę się oprowadzić po śpichrzach, stodole...

HENRYK.

Ja sam panu sędziemu towarzyszyć wolę.

SĘDZIA.

A broń Boże! broń Boże! jesteśmy ciekawi;
Lecz tu kochany sąsiad niech goście zabawi
(*ukazuje na Maryę*).
A ja wkrótce powrócę...
(*do siebie*)
Bo to niezła scheda,
Trzeba wszystko obejrzeć— może mi odprzeda.
(*odchodzi*).

HENRYK) (*do siebie, patrząc na Maryę*).

Boże! jaka zmieniona!... niemusi być płocha...

MARYA (*do siebie, patrząc na Henryka*).

Boże! jaki on blady!.. on dotąd mię kocha...
Jabym chciała utrzymać odwagę kobiécą...

MARSZAŁEK.

No! pogawędźcie sobie, a ja chrapnę nieco.
(*odchodzi do drugiéj izby*).

HENRYK, MARYA.
(*Długie milczenie*).

MARYA (*przerywając je*).

Prześliczną mamy jesień.

HENRYK.

Tak... jest trochę słońca:
Nad skonaniem przyrody lampa konająca
Dopala się powoli...

(*Znowu milczenie*).

MARYA.

W téj leśnéj ustroni,
Kiedy wicher jesienny po szybach zadzwoni,
Kiedy liście opadną, gdy nastaną słoty,
Musi być bardzo tęskno...

HENRYK.

Są chwile tęsknoty :
Myśl płynie w kraj daleki na jesiennym wietrze;
To nakréśli gmach szczęścia, to znowu go zetrze;
Leci czasem w gwar świata z pustelniczéj chaty,
Na widnokręg Ludzkości piękny i bogaty,
Kędy postaci ludzkie promienią się, złocą...

MARYA.

Szczęśliwy pan, gdy mniemasz, że jest wracać po co.
Świat taki monotonny.

HENRYK.

Jest inszy świat ducha.
W tamtym jest rozmaitość, kto się pilnie wsłucha;—
W taktach ludzkiego serca tak różne są tony,

Jak w muzyce pod jeden akord niespojonéj;
Lecz chwilkę się wsłuchawszy odgadnąć nietrudno,
Że z tych niesfornych tonów Bóg składa pieśń cudną.

MARYA.

Ależ trudno dosłyszeć, jak ludziom gra— dusza:
Bo każdy bicie serca umyślnie— zagłusza,
Aby go niesłyszeli.

HENRYK (*z westchnieniem*).

Jam z miasta tak dawno,
Zapomniałem, czy skrycie, czy serca drżą jawno;
Lecz tutaj... myślą głośno... marzą jak na jawie...
Poprostu a serdecznie...

MARYA (*siląc się na ironję*).

Za to nieciekawie.
Piękna sielska prostota... ale nieco dzika...

HENRYK.

Jest piękno i w dzikości, kto bacznie przenika.
Tu pod nieokrzesanym dębowym konarem

Nieokrzesana ludzkość żyje ładem starym:
Modli się po kaplicach, albo u cmętarzy,
Lecz w jéj prostych pacierzach skra wiary się żarzy;
Śpiéwa prostych piosenek chrapowate słowa,
Ale w staréj piosence całą duszę chowa;
Praca czerni i marszczy ich czoła i ręce,
Ale w sercach hartuje uczucia dziecięce.
Tutaj niezna przymusu ich mowa, ich oko;
Gdy śmieją się, to hucznie— płaczą, to szeroko;
A gdy podadzą rękę, to pewno już szczérze...

MARYA (*z lekkim przekąsem*).

Pan dobrze lud poznałeś, a więc panu wierzę...
I musi pan nic a nic nieżałować świata,
Kiedy się z nowém życiem tak serdecznie brata.
(*z ukrytym niepokojem targa wstążkę*).

HENRYK.

Nie Pani!—tamto życie jak wspomnienie w ciemnie—
Lecz piętno niezatarte wypaliło we mnie;
A jeżelim nieupadł pod cierpień nawałem,

To z tamtych tylko wspomnień potęgę czerpałem;
I dziś ztamtąd ją czerpię, gdy marzeń pozbywszy
Obrałem zawod życia czynniejszy i żywszy;
Budzę się z jedną myślą—a ta myśl— zbawczyni,
Błogosławi mą pracę, wytrwalszym mię czyni.
Ja, ofiara marzenia, wygnaniec niebieski,
Silnie jąłem się pracy jak topielec deski,
Czynię tutaj ubóstwu com uczynić w stanie,
Szczére bliźnich *Bóg zapłać*, to moje zadanie;
Tu mi jedni dziękują, drudzy o cóś proszą,
I tak się próżnia życia wypełnia roskoszą,
A gdy mi pot rzęsisty oblewa jagody,
Gdy sumienie powiada żem dziś wart nagrody,
Jedyna się modlitwa z moich piersi ciśnie:
Boże! tamtéj przeszłości choć chwilkę niech przyśnię!

MARYA.

Szczérze panu winszuję téj szlachetnéj zmiany,
Pan tu jesteś dokoła chlubnie wspominany,
Tu mi mówił o Panu strzelec siwobrody.

I ludzie co nasz powóz dobywali z wody
I stary pański sługa — każdy swoje prawi,
A każdy po swojemu Pana błogosławi.
Zwiedziłam Pański dworek przed niedawną chwilą,
Budynki tak się wdzięczą, kwiatki tak się milą,
Byłam nawet w pszczelniku, chodziłam przy strudze;
Piękneż to takie życie w pracy i zasłudze!
Tak zapełniać swe chwile — to życiem się zowie!
Ale z pracą ostróżnie! bo wycięcza zdrowie;
Pan jesteś nieco blady, jakby po chorobie...

HENRYK (*zmieszany*).

Lekkiego bolu głowy doświadczam w téj dobie,
Nic... to przejdzie. (*zmieniając rozmowę*) A pa-
ni? na długo kraj rzuca?

MARYA.

Och! ja niewiém... chcę jechać... bo tu bolą płuca,
Duszne u nas powietrze... a ludzie... ohydni...
Może pod jasném niebem w oczach się rozwidni,
Może w górach Szwajcarskich w naturę uwierzę,

Może w świątyni Piotra pomodlę się szczérze;
Tu modlić się niemogę chociaż dusza chora!
O cóż prosić w tém życiu, bez jutra, bez wczora?..
Może stojąc na Etny ognistym wulkanie
Serce silniéj uderzy— albo bić przestanie!..
Ja niewiém,—czuję tylko że w sercu i w głowie
Taka okropna próżnia... tak straszne pustkowie...
Tak mi wszyscy niemili, tak nic nieporuszy.
O panie! ty znasz życie, znasz tajniki duszy,
Sam uczułeś w swém sercu co jest cierpień ostrze;
Dobry panie Henryku! poradź mi jak siostrze?

HENRYK.

Ja tylko boleć mogę... ale cóż poradzę?
Gdyby mi dał Przedwieczny nad losami władzę,
Skazałbym się na męki w piekielnéj otchłani,
Gdybym zdołał choć nieco ulżyć cierpień Pani.
Lecz słaby i zbolały— cóż poradzić mogę?
Wskazać własną, krzyżową, doświadczoną drogę,
Wskazać czynu i pracy mozolne koleje:
Te może zdolne wskrzesić duch co kamienieje!

Jedź pani gdzie na wioskę, wszakże wioski macie,
Bądź aniołem pociechy w wyrobniczéj chacie,
Schorzałemu kalece gotuj plastr na rany,
Nagim dzieciom wioskowym sama szyj sukmany,
Naucz pisma pacholę co ginie w ciemnocie,
Młode dziéwczę utwierdzaj twym przykładem w cnocie,
Gwarz ze starym oraczem, spiéwaj pieśń ze żnieją,
Smiej się kiedy chychocą, zapłacz gdy łzy leją,
I pracy i zasługi znajdziesz tam bez liku,
To może ulży sercu...

MARYA (*ze łzami*).

Henryku! Henryku!
Już przeczuwam to szczęście, widzę je, znachodzę,
Lecz któż mi poda ramię by utwierdzić w drodze!?
Ty mi sam pokaż życie Czynem i Ofiarą;
Wiész co? luby! odnówmy naszą chatkę starą,
Nasze stare marzenia!— Bóg wié co się stanie?
Czy mi uda się zmówić pacierz w Watykanie?
Czy pokocham naturę z Genewskich wybrzeży?
Czy na kraterach Etny serce mi uderzy?—

A tutaj... pod drewnianym krzyżykiem u drogi,
Przypomnę stary paciérz, poznam lud ubogi,
Jego serce cieplejsze od wulkanów Etny—
A z okien twojéj chatki taki widok świetny
Nauczy jak się Litwę i naturę kocha...
(*klęka*).
Przebaczenia, Henryku! ja byłam tak płocha!
Jam niewarta twéj chatki!

HENRYK (*podnosząc ją z zapałem*).

Marjo! taka chwila
Całą boleść łagodzi, mój żal obezsila.
Podaj mi rękę! chodźmy przez ciernie i kwiaty.
Błogosławiona chatka!..

MARYA (*podając mu rękę*).

O jakżem szczęśliwa!

MATEUSZ (*wchodząc przerażony*).

O święty Mateuszu! ot i recydywa!

CIŻ, MATEUSZ i MARSZAŁEK *wchodzi ziewając.*

MARSZAŁEK (*do Mateusza*).

A cóż, dobry staruszku, czy powóz podali ?

MARYA.

Powóz? Kochany ojcze ! niejedźmy już daléj.
Po co nam zagranice i koszt i fatyga?
Czyż się w kraju prawego szczęścia niedościga?
Wśród życia obowiązków ofiary i pracy,
Gdzie tylu jest cierpiących, gdzie bliźni, rodacy,
Gdzie mię czekają serca i ducha rozkosze—
Niejedźmy, drogi ojcze, niejedźmy ztąd proszę !

MARSZAŁEK.

Co to za dziwny wyskok rozmarzonéj głowy !
Jechać, to wracać z drogi prawie od połowy,
Brak wygod po gospodach, niespokój morderczy...
Już mi ta wasza podróż kością w gardle stérczy !
Niedojadaj w południe, niedosypiaj z rana,
Wywracaj się na mostach pana Płodoźmiana...

A teraz co? niejechać? nazad się posuniem?
(*do Mateusza*)
Proszę mi podać lulkę i kapciuch z tytuniem...
Cierpliwości niestaje...

MARYA.

Niegniéwaj się, ojcze!
Już nazawsze minęły nudoty zabójcze,
Co mię pędziły z domu— jam odżyć gotowa,
Ja ci będę wesoła, ja ci będę zdrowa,
Ja ci będę szczęśliwa... będę tak szczęśliwa!
Niejedźmy.

MARSZAŁEK (*zdumiony*).

Cóż to znaczy?

MATEUSZ (*półgłosem, podając mu fajkę*).

A cóż? recydywa.

MARSZAŁEK (*domyślnie*).

Aha!! już jestem w domu... jestem w leśnéj chacie.
Myśliliście, że niewiém, iż wy się kochacie?
Oho! ho! ja wiém wszystko... wiedziałem już wprzódy.

Alež potém... wasz rozdział... choroby i nudy!..
Sądziłem, żeś przestała kochać go nazawsze.

MARYA.

On dziś mię wskrzesił słowem, wskazał cele prawsze,
Wskazał czyny jak wielkie życia ideały,
Rozbudził piękne żądze, co w mém sercu spały.
Mnie— abym je spełniła, potrzebna opieka;
Prosiłam go o ramie— i on mi przyrzeka,
Prowadzić drogą życia przez kwiaty i ciernie...
Dochował mi swych uczuć szlachetnie i wiernie,
Przebaczył moję płochość, moję winę zmązał,
I na nowo i wiecznie pokochać się kazał...
Mój ojcze, pobłogosław.

MARSZAŁEK (*do Henryka*).

Cóż pan na te dziwy?

HENRYK (*składając ręce do prośby*).

Panie! chcę uszczęśliwić i sam być szczęśliwy.
Tém śmieléj błagam zgody dla przyszłości naszéj,
Że znam zapał téj duszy... mierność jéj niestraszy;

Ona chętnie zamieszka w téj leśnéj pustyni,
A miłość mię na trudy silniejszym uczyni!
Przysięgam...

MARSZAŁEK.

Nieprzysięgaj—wierzę waści, wierzę...
Widzę, żeś tu pracował gorliwie i szczérze,
Pięknie, że tu cię wszyscy wspominają radzi;
Syn mego przyjaciela... dobrze się prowadzi...
Dałci nam smaczny obiad—no! kocham cię za to!
Majątek!! a toż słyszę, masz ciotkę bogatą;
Umrze kiedyś.. to grosza wygrzebiesz z zapiecka...
Zresztą... ja dobry ojciec—ja chcę szczęścia dziecka.
Gdyście się pokochali, zwyczajnie, jak młodzi,
Staraj się o jéj szczęście, Bóg ci wynagrodzi...
No! ja was błogosławię rodzicielską władzą!
Warto zapić tę sprawę!—niech kielich podadzą!
(*uściska Maryę i Henryka*).

CIZ i PŁODOZMIAN.

PŁODOZMIAN (*który słyszał ostatnie słowa, cofa się przerażony*).

Marszałku dobrodzieju! poczekajcie trocha!
Niech Marszałek dobrodziéj, kiedy Boga kocha,
Słóweczko... interesik:

(*do siebie*)

O biada mi biada!
Otoż przepyszna gratka sama z rąk wypada!
(*głośno*)
Marszałku! na sekrecik! cóś powiém, cóś powiém

(*Porywa Marszałka pod rękę, i odprowadzając na stronę szepce*)

On pana oczarował tém leśném pustkowiem.
Któż to widział—tak nagle, a tak obcesowie!

MARSZAŁEK.

Od tego Maryi życie, od tego jéj zdrowie,
Od tego i mój spokój i wszystko zależy...

SĘDZIA (*niecierpliwie*).

A czyż niéma już inszéj na świecie młodzieży?

MARSZAŁEK.

Czy masz co przeciw niemu?

SĘDZIA.

Nie, nic, ale proszę...

MARSZAŁEK.

Chłopiec prawy...

SĘDZIA.

To mniejsza...

MARSZAŁEK.

I będzie mieć grosze;

Marja dała mu serce...

SĘDZIA.

To niechaj odbierze...

Zresztą... panie Marszałku! rozmówmy się szczérze.

(*klęka*).

Ja kocham ją nad życie— aż serce się trzęsie,
Jakby mówiło do mnie: ożeń się! ożeń się!!..
O posażku niemówię: ja serca chcę więcéj...
Wezmę tylko połowę, trzykroć sto tysięcy...
Choćby trzykroć, cóż robić?.. resztę gdzie chcesz podziéj...
Tylko nazwij mię synem Marszałek dobrodziéj.

Ja panu Marszałkowi... ja panu... Bóg świadek,
Wydam przepyszny obiad... przepyszny obiadek,
Sto obiadków od razu... dam zajączka, wina!..

MARSZAŁEK (*z głośnym śmiéchem*).

Zwarjował nasz sędzisko! cóś bredzić poczyna!
Żenić się w twoim wieku! z tak młodą osobą!

SĘDZIA (*zawsze klęcząc*).

Marszałku dobrodzieju! mam metrykę z sobą!

(*szuka po kieszeniach*).

Zapomniałem w kantorku... niewięcéj... niewięcéj...
Trzydziesty piérwszy roczek i kilka miesięcy...
Ojcze!..

MARSZAŁEK (*podnosząc go*).

Powstań już sędzio! bo śmieją się dzieci!
Zkąd ta miłość przypadła do serca waszeci?
Daj pokój, w naszym wieku! my ludzie nieświeży,
Nieprzeszkadzajmy szczęściu niewinnéj młodzieży...
Niemogę... dałem słowo... to rzecz uroczysta.—
No! wypijemy wina i zagramy w wista!

KONIEC.